

D*ruga połowa nadziei* – książka nominowana do renomowanej niemieckiej nagrody imienia Friedricha Glausera (Friedrich-Glauser-Preis) w roku 2015.

Walentyna czeka na powrót córki z Niemiec. Dziewczyna od wielu miesięcy nie daje znaku życia. Wydaje się, jakby zniknęła – podobnie jak wiele innych studentek, które rzekomo otrzymały stypendium w Niemczech. Walentyna żyje natomiast w czarnobylskiej zonie, rodzinnej okolicy. Aby przetrwać mroźną zimę i rozpaczliwe oczekiwanie na córkę, lecz nie stracić przy tym nadziei, zaczyna spisywać historię swojego życia.

Tymczasem w Niemczech Matthias Lessmann ukrywa przed prześladowcami młodą dziewczynę wschodnioeuropejskiego pochodzenia. Gdy ta wkrótce podcina sobie żyły, ratuje jej życie po raz drugi – i poznaje przerażające fakty.

Fascynująco opowiedziana współczesna historia – powieść, której nie da się zapomnieć!

Tytuł oryginału
Die andere Hälfte der Hoffnung
Copyright © 2015 by Mechtild Borrmann
All rights reserved
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Anna Wasińska
Korekta:
Dariusz Marszałek
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-886-3

MECHTILD BORRMANN

**DRUGA
POŁOWA
NADZIEI**

**TŁUMACZENIE:
MAGDALENA KACZMAREK**

OŚWIĘCIM 2019

*Nadzieja to druga dusza nieszczęśliwego*¹.
Johann Wolfgang von Goethe

¹Cytat z motta pochodzi z: Johann Wolfgang Goethe, *Refleksje i maksymy*, tłum. Jerzy Prokopiuk, wyd. Czytelnik 1957.

Rozdział 1

Zyfflich, niedziela, 14 lutego 2010

Matthias Lessmann stał na podwórzu z miską ziarna. Ignorując kury, tłoczące się wokół niego z gdakaniem, zacisnął na moment powieki, a potem skierował wzrok ku wiejskiej drodze. Po asfalcie szła kobieta – czy może raczej dziewczyna? Podążała w kierunku wsi. Co kilka kroków zatrzymywała się i odwracała, jak gdyby czegoś wypatrując. Chwiała się na nogach i wyglądała na zagubioną.

Lessmann potrząsnął z rezygnacją głową. Ta dzisiejsza młodzież. Coraz bardziej niepoważna. Zapewne dziewczyna balowała do białego rana i zbyt dużo wypijała. Nic go to jednak nie obchodziło.

Odkąd trzy lata temu w wielkiej stodole w Eichenhof urządzono sobotnią dyskotekę, nocami jego dom miały pędzące samochody, a z ulicy dobiegały ryki pijanej młodzieży.

Kolistymi ruchami gęsto rozrzucił ziarno po wybiegu dla kur. Z nagich gałęzi rosnących w sadzie jabłoni i czereśni zerwały się sikorki. Wylądowały pośród drobiu i zaczęły podbierać ziarno. Mężczyzna poszedł do owczarni i otworzył wrota, a zwierzęta, spragnione wody i siana, z beczaniem ruszyły przez zamarzniętą łąkę w kierunku ogrodzenia. Kroczył za nimi niespiesznie. Przy jego nodze podążała

Bella – stara suka owczarka niemieckiego. Na powierzchni obu wiader, które poprzedniego dnia napełnił świeżą wodą, leżała gruba warstwa lodu.

Znowu spojrzął w kierunku ulicy. Dziewczyna była coraz bliżej.

Czy to jakaś wariatka? Ma na sobie tylko cienką czarną sukienkę na ramiączkach. A raczej coś w rodzaju halki. I to przy minus dziesięciu stopniach.

Bella również ją zwęszyła, biegała niespokojnie tam i z powrotem wzdłuż oddzielającego pastwisko od ulicy płotu.

Nie do wiary. Ona była bosa. Kto to jest? Ta mała od Wegnerów? Nie. Jessica Kröger? Nie. Nietutejsza. Dlaczego się tak ciągle rozgląda? Liczy na jakiś przejeżdżający samochód? Chce złapać okazję?

Podniósł wiadra ponad ogrodzenie i uderzył nimi kilkakrotnie o jedną ze sztachet, tak by warstwa lodu na powierzchni oddzieliła się od metalowej krawędzi, a następnie wylał zawartość. Poszedł do szopy i przyniósł bełę siana. Znowu rzucił okiem w kierunku ulicy. Dziewczyny nie było. Bella wciąż szczełała. Matthias omiół wzrokiem równinę oraz pokryte szadzią i połyskujące bielą pola oraz łąki. Wschód rozświetlił łuk obudzonego słońca w pierścieniu bladej, skrzącej się niemalże na fioletowo poświaty. Pewny znak dalszego zimna i opadów śniegu.

Gdzie ta dziewczyna?

Wyciągnął z kieszeni spodni scyzoryk, przeciął obie taśmy na beli i rozłożył siano w paśniku. Owce w okamgnieniu zamilkły.

Wtedy jego uszu dobiegło warczenie silnika. Wiejską drogą nieśpiesznie sunął czarny samochód terenowy.

Gdy auto zniknęło za zakrętem, znowu ją zobaczył. Wyczołgała się z rowu pomiędzy polem a ulicą i zatrzymała

jakieś dwadzieścia metrów od Lessmanna. Pies zapamiętałę ujadł. Matthias podszedł do otaczającego posesję żywopłotu. Dziewczyna kuliła się, obejmując ramionami swoje szczupłe ciało, które całe wydawało się drżeć.

– Pomocy – odezwała się. – Proszę, niech pan mi pomoże.

– Spokój! – uciszył psa Lessmann, a ten natychmiast zamilkł.

W pierwszym odruchu mężczyzna chciał wrócić do owiec. Wieś była oddalona o dwa kilometry. Przecież dałaby radę tam dotrzeć. Co on w ogóle miał z nią wspólnego? Mogła tylko ściągnąć na niego kłopoty i nieprzyjemności. Poza tym ten jej akcent... Na pewno była cudzoziemką, może go równie dobrze w ogóle nie zrozumieć.

Wskazał w kierunku kościelnej wieży.

– Wieś jest niedaleko stąd! – zawołał. – Mniej niż dwa kilometry.

Znowu usłyszał dźwięk silnika i od razu wiedział, nie widząc nawet jego źródła, że to ta sama terenówka. Dziewczyna chyba też nasłuchiwała. Ruszyła biegiem wzdłuż żywopłotu, ku wjazdowi na podwórze. Bella również zaczęła biec. Matthias przywołał psa do siebie, a potem zrobił coś, co mu się zdarzało bardzo rzadko: zadziałał bez namysłu.

Otworzył bramę, chwycił dziewczynę za rękę i pociągnął za sobą przez podwórze aż do szopy.

Samochód zwolnił, podjechał bliżej i przystanął.

– Pilnuj – powiedział Lessmann do Belli, a suka ruszyła truchtem, stanęła przy wjeździe i zaczęła warczeć na auto.

Kobieta kucnęła za belą siana. Słyszał szczękanie jej zębów.

Prawą dłonią przecesał dawno niestrzyżone siwe włosy. Co się z nim dzieje? Od zawsze zależało mu tylko na świętym spokoju, a tymczasem właśnie sprowadzał pod swój dach

problemy. Może to ojciec szukający córki albo mąż? Może rzeczywiście była zamężna? Coś tu jednak nie grało.

Ukrył się za otwartymi drzwiami obory i zerknął przez szczelinę, jaką dawały zawiasy pomiędzy ścianą a wrotami. W samochodzie siedzieli dwóch mężczyzn, którzy bacznie rozglądali się dookoła. Kierowca to naciskał, to puszczał pedał gazu, a silnik zawzięcie porykiwał. W końcu powoli odjechali.

Obserwował tylne światła wozu. Gdy zniknęły za najbliższym zakrętem, ruszył w głąb szopy.

Siedziała zwinięta w kłębek między belami siana. Jej zęby trzaskały o siebie nawzajem, ich równomierne szczękanie przypominało stukot maszyny do szycia jego żony, kiedy szyla zasłony czy przerabiała ubrania.

Dziewczyna wciąż kuciała, wlepiając w niego wielkie brązowe oczy niczym zaszczute zwierzę w myśliwego.

Uniósł ręce i pokazał wnętrza obu dłoni.

– Hej, hej – powiedział, jak miał to zwyczaj czynić wobec zwierząt, które się go bały. – Nic ci nie zrobię.

Jej oddech był krótki, urywany.

– Czy to auto odjechało? – zapytała, a jemu się wydało, że rozpoznał wschodnioeuropejski akcent.

– Tak. Tak, odjechało.

Niezdeterminowanie przestępował z nogi na nogę. Właściwie powinien wyjść i przynieść owcom świeżej wody. Powinien wyprosić dziewczynę, powiedzieć, żeby sobie poszła, ale ci dwaj mężczyźni w samochodzie go zaniepokoiли.

– Chodźmy do domu. Trzeba zawiadomić policję – rzekł spontanicznie.

Nie podziałało to uspokajająco na nieznaną.

– Nie! Policję... nie. Proszę, ja sobie pójdę, tylko nie policję! – wydusiła z siebie z trudem, dygocąc z zimna.

Lessmann zdjął kamizelkę z owczej skóry, którą nosił narzuconą na gruby sweter, i podał dziewczynie. Nie rozumiała, dlaczego to zrobił.

Z wahaniem wzięła od niego serdak i włożyła na siebie, owijając się szczelnie jego połamami.

Była okropnie chuda. Może powinna coś zjeść?

– Chodźmy do domu – zaproponował pojednawczo. – Zaparzę gorącej herbaty, zrobię kanapkę, świat od razu nabierze kolorów.

– Tylko nie na policję! – zawołała błagalnie raz jeszcze.

– Nie. Żadnej policji. Już w porządku – warknął.

Ruszyli do tylnego wyjścia korytarzykiem w kierunku kuchni. Matthias zdjął gumowce i włożył znoszone brązowe kapcie. Wziął z pieca czajniczek, napełnił wodą i postawił na gazie.

– Chwilkę to potrwa – oznajmił i wskazał okrągły, niegdyś biały, a dziś już pożółkły zegar z plastiku. Spojrzał na nią. – Usiądź.

Baczenie rozglądała się po pomieszczeniu. Nie był przygotowany na odwiedzinę. Właściwie od sześciu lat nie był. Od śmierci Very, swojej żony.

Z kuchennej ławy zdjął stos gazet i przetarł dłonią po wysłużonym zielonym obiciu.

– Proszę!

Wtedy zerknął na jej stopy i zrozumiał, że herbata tu nie pomoże. Ona musi wziąć kąpiel, koniecznie gorącą.

– Gorąca kąpiel – oznajmił. – Najlepsza byłaby gorąca kąpiel.

Wypowiedział te słowa raczej sam do siebie, jak to miał w zwyczaju w ostatnich latach.

Przełknęła ślinę, po czym kiwnęła potakująco głową.

Nerwowo przejechał dłonią po karku, z jego spojrzenia biły frasunek i bezradność.

– Ale później będziesz musiała stąd pójść, rozumiesz?!
Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzał.

W łazience, na przymocowanym do drzwi wieszaku, wisiał jego ciężki szlafrok w granatowe i szare pasy. Odkręcił wodę, sprawdził temperaturę, wziął szlafrok i zaniósł go do kuchni.

– Potrwa to parę minut. Na razie włóż to.

Spróbowała uśmiechnąć się z wdzięcznością, lecz uśmiech tylko zadrżał w kącikach jej ust i po chwili zniknął.

Nagle poczuł wzruszenie. Jej drżeniem, jej chudością, tym, że była całkowicie zdana na niego.

Czajnik zagwizdał. Poszukał dzbanka, a kiedy go w końcu znalazł wśród brudnych naczyń w zlewie, pobieżnie przepłukał.

Przesunął leżące na stole papiery, sprzątnął kubki i odstawił puste butelki po piwie do skrzynki. Wrócił do łazienki, zakręcił kurek, sprawdził temperaturę wody i kiwnął z zadowoleniem głową.

Stał w drzwiach kuchennych i wskazał w kierunku łazienki.

– Kąpiel gotowa.

Narzuciła szlafrok na kamizelkę z owczej skóry. Gdy szła przez przedpokój, jego poły ciągnęły się po sfatygowanym linoleum jak tren zubożałej królowej.

Poszedł za nią do łazienki i zatrzymał się niezdecydowanie w drzwiach.

– Gdy... gdy kto bardzo zmarzł, przemarzł... ciepła woda sprawia ból. Musisz bardzo ostrożnie wejść do wanny – wyjąkał, starając się przygotować ją na to, co miało zaraz nastąpić.

Przytaknęła w milczeniu.

Długie brązowe włosy zakrywały jej twarz, kiedy z opuszczoną głową zdejmowała szlafrok i serdak. Wydawało się, że spuściła głowę jeszcze niżej, sięgając do suwaka cienkiej sukienki.

– Moment! – zawołał z przestraszeniem, wybiegł z łazienki i zamknął za sobą drzwi.

Zatrzymał się zaraz za nimi, w przedpokoju, nasłuchując jej świszczącego oddechu, którym reagowała na ból w zętknięciu z ciepłą wodą. Chwilę później zapadła cisza.

Z ulgą wrócił do kuchni, sownicie obłożył chleb serem gouda i postawił talerz na stole. Na górze, w sypialni, wciąż przechowywał ubrania Vera. Od śmierci żony nie otwierał jej części szafy, ale na pewno był tam jakiś płaszcz i buty, które mogły pasować na dziewczynę i które można było jej podarować. Vera z pewnością też by tak zrobiła.

Umył dwa kubki. Jeszcze raz spojrzął na piętrzące się w zlewie brudne naczynia. Poczul nagły wstyd z powodu stanu swojej kuchni. Opróżnił więc zlewozmywak, wetknął korek w odpływ i napuścił wody. Osuszony naczynia, poustawiał je w szafkach. Wtedy zastanowiła go panująca w łazience cisza. Spojrzął na poźółkły zegar. Minęła prawie godzina. Woda w wannie na pewno już wystygła. Powinna przecież sobie dołać ciepłej, w przeciwnym razie znów przemarznie.

Ruszył do przedpokoju i zastukał w drzwi łazienki.

– Halo!

Brak odpowiedzi.

– Halo, wszystko w porządku? – zapytał niepewnie.

Znowu cisza.

Nie mógł przecież tak po prostu wejść do środka. Jednak niepokój kazał mu odsunąć wszelkie wątpliwości na bok. Nacisnął klamkę.

– Halo, wszystko dobrze?

Potem popchnął drzwi. Woda była krwistoczerwona, a jedna z jego żyłek do golenia leżała na podłodze obok wanny.

Rozdział 2

Strefa wykluczenia, październik 2010

Wnocy zima nałożyła białą suknię ślubną. Okolica połyskuje i promienieje w porannym słońcu.

Walentyna stoi w kącie kuchennym przy oknie.

Październik. Gdy mróz przychodzi tak wcześnie, to i prędko nie odejdzie.

Ludmiła, sąsiadka z Trojesczyny, przekazała jej kilka dni temu przez swojego syna Artema cukier, sól, mąkę i olej, do tego jeszcze nawet cztery jajka. Artem pracuje jako strażnik i w rytmie czternastodniowych zmian nadzoruje strefę wykluczenia przy jednej z ulic wiodących na Białoruś. By dostać tę pracę, konieczne było uruchomienie wielu znajomości i wydanie sporej sumy pieniędzy.

Raz w miesiącu przywozi Walentynie skrzętnie zapakowane przez matkę torby. Walentyna odstąpiła bowiem swoje czterdziestometrowe mieszkanie córce Ludmiły z mężem i dwojgiem dzieci. Sama nie była już w stanie płacić za prąd, gaz i wodę, których ceny w ostatnich latach niemiłosiernie poszły w górę.

Artem zbudował dla niej regał z klinkierowej cegły i szerokich desek, oddzielając w ten sposób piec i szafkę ze zlewozmywakiem od pozostałej części pokoju. Na jego półkach stoją teraz słoiki z marynowanymi ogórkami, po-

midorami, fasolą, grzybami i śliwkami, a w piwniczce pod drewnianą podłogą leżą ziemniaki, jabłka i kapusta. Pod sufitem suszą się mięta i rumianek. Wszystko zebrane we własnym ogrodzie lub w najbliższej okolicy. Przygotowany opał nie wystarczy na tak długą, jak się zapowiada, zimę, ale drewna dookoła jest pod dostatkiem.

Kycia, buro pręgowana kotka, miauczy i ociera się delikatnie o nogę Walentyny. Ta podnosi ją i wychodzi z kuchni. Za regałem stoi fotel, całkiem elegancko wyglądający pod przykryciem z niebieskiej nylonowej kapy, przywieszonej z Trojeszczyny. Pod ścianą stoją wąska kozetka i stara szafa, zaś pod drugim oknem – przykryty białym obrusem mały stolik z krzesłem. Gdy plądrowano dom, obrusik został zapomniany w szafie. Na jego krawędziach, zgodnie z poleską tradycją, wyszyto jasnoczerwone i niebieskie kwiaty. Nie udało się doprać plam spowodowanych przez wilgoć. Pomiędzy kwiatami widoczne są więc wyblakłe brązowe kleksy.

Poprzedniego wieczoru Walentyna położyła na stole notatnik w zielonej tekturowej oprawie, ołówek z gumką na końcu i metalową temperówkę. Minęło już pięć lat od momentu, kiedy ozdobnymi literami napisała na okładce „Mój pamiętnik” i podarowała go córce. Ale ona nigdy z niego nie skorzystała, zostawiła notes w Trojeszczynie.

Tak zeszyt, jak i matkę.

Dzisiejszego poranka Walentyna przebudziła się wraz z pierwszym promieniem słońca, odśnieżyła drogę od drzwi wejściowych aż do ustępu i napełniła wiadro wodą z pompy. Jeśli zimno się utrzyma, pompa za kilka dni zamrznie. Wtedy pozostanie już tylko śnieg. Na szczęście niedaleko stąd jest też rzeczka.

Walentyna gotuje na piecu wodę z kilkoma listkami mięty i wlewa napar do kubka.

Nie ma nic więcej do roboty. Czekaa na tę chwilę, ale teraz próbuje od niej uciec, rozglądając się za jakimś zajęciem. Podłoga pozamiatana, opał na dziś stoi w koszu obok pieca, a upieczony wczoraj chleb wystarczy jeszcze na jakiś czas.

Siada z kubkiem herbaty przy stole, otwiera notatnik i chwyta ołówek. Przez ponad godzinę wpatruje się w cienie linie na papierze, aż zaczynają się rozmywać i w końcu zupełnie znikają. Wstaje i stawia trzy kroki pomiędzy regałem a drzwiami, próbując uporządkować myśli. Na pierwszy plan wciąż przeciska się jedno słowo: szczęście!

Słowo tkwiące w jej głowie od wielu dni, słowo, które przeżuwa, które rozkłada na części pierwsze, obraca i odwraca, które – jak jej się wydaje – zaczyna rozpoznawać. Słowo, które w jej życiu zawsze występowało z jeszcze pewną krótką sylabą.

Nie-szczęście.

Czuje suchość w ustach. Gdy siada znowu na starym drewnianym krześle, bierze w dłoń ołówek i pisze pierwsze zdania:

Moja mała Katerynko, to nadzieja mąciła mi rozum. Nadzieja na lepszą przyszłość. Ale nadzieja – co zrozumiałam o wiele za późno – to obezwładniająca trucizna, która powoduje, że zamieramy w bezruchu. Kiedy patrzę w przeszłość, wydaje mi się, jakbym całe życie tylko czekała. Na jutro, na pojutrze, na kiedykolwiek. Tamtego wieczoru, rok temu, pomyślałam, że to czekanie się opłaciło. Pomyślałam: Może wreszcie szczęście się do nas uśmiechnie!

Odkłada długopis i wygląda przez okno. Znowu się pojawiło – to słowo. Kiedy je poznała? W jej wspomnieniach zawsze było jasne i kolorowe, było synonimem marzeń, które miały się spełnić w przyszłości. W jej dzieciństwie związane nierozzerwalnie ze świątłymi celami państwa robotników i chłopów.

Dorastała niedaleko stąd, w Riczycy. Po tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym wracała tam każdego roku na obrzęd hrobków¹, odwiedzała cmentarz na skraju wsi, gdzie leżała jej matka. Porządkowała zapuszczony grób, malowała zawsze na nowo otaczające go żelazne ogrodzenie i zgodnie ze starym obrzędem jadła i piła wspólnie z nieboszczką. Potrawy ustawiała przed nagrobkiem. W pierwszych latach towarzyszył jej jeszcze mąż Hlib, który po każdym wypitym kieliszku wódki kolejny wylewał na grób. Potem szybko oddalali się z zony. Nigdy nie wystarczyło jej odwagi, by pójść do wsi i zajrzeć do domu, w którym spędziła dzieciństwo.

Dopiero zeszłej wiosny, chcąc zostać na dobre, wybrała się do domu po rodzicach – w nadziei, że być może uda się w nim zamieszkać. Ale w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku pół wsi pochłonął pożar. W drugiej, splądrowanej połowie zapadnięte dachy porósł łopian, wdzierający się do zawalonych domów również przez powybijane okna i wyłamane drzwi. Ze spękanego asfaltu uliczek i dawnego boiska szkolnego, w otoczeniu traw, mniszka i chaszczy wysokich jak dorosły człowiek, wyrastały brzozy i skarłowaciałe sosny. Niemalże szyderczo kwitła wszędzie dzika biała róża.

Walentyna ostrożnie otworzyła drewniane, niegdyś błękitne drzwi budynku szkoły. Farba złażyła z nich wielkimi płatami

¹Hrobki – szczególny dzień na Ukrainie, w którym oddaje się cześć zmarłym, obchodzony tydzień po Wielkanocy (przyp. red.).

mi, odkrywając pleśniejące deski. W środku pozostało trochę ławek i krzesel. Zeszyty i książki, narażone przez te wszystkie lata na zimno i wilgoć, leżały porozrzucane na podłodze, wyraźnie ponadgryzane przez myszy. Ciężkie tablice zdemonstrowano i sprzedano, więc gdzieś tam w głębi kraju nic niepodejrzewający nauczyciele pisali wzory na ich radioaktywnych powierzchniach. Przedstawiająca żniwa mozaika ku chwale państwa robotników i chłopów wciąż była na swoim miejscu – w korytarzu przy wejściu.

Walentyna usiadła przy pulpicie w jednej z sal lekcyjnych. Nie wiedziała, ile czasu spędziła we wszechogarniającej ciszy, ale doskonale zapamiętała uczucie osamotnienia, niemające nic wspólnego z brakiem innych ludzi. Pustkę, w której nie mogły znaleźć sobie miejsca ani teraźniejszość, ani przyszłość. Pozostał tylko odcinek czasu równy jednemu mrugnieniu okiem i ból, gdy zrozumiała, że nie istnieje już nic, na co mogłaby czekać.

Teraz mocniej owija piersi grubym zielonym swetrem z wełny, ujmuje znów w dłoń ołówek i ściera gumką napisane zdania. Zostawia tylko jedno: *Moja mała Katerynko*.

Najlepiej będzie, jeśli zacznę od nowa. Nigdy nie pytałaś o swoich dziadków i nigdy też nie zaczynałaś rozmowy o moim dzieciństwie w Riczycy. Zapewne czułaś, że nie chciałam o tym opowiadać. Strefa wykluczenia, która w momencie twoich narodzin istniała już od ponad pięciu lat, była w moich myślach strefą pustki. Nie wiem, kiedy postanowiłam zachowywać się tak, jak gdyby istniała od zawsze. Niezamieszkały teren. Tak po prostu. Jak pustynie czy bagna.

Twój did² był mechanikiem maszyn rolniczych w kołchozie, a Twoja baba pracowała jako dojarka. Byłam jedynaczką.

² Did, baba – w języku ukraińskim дід, баба, czyli dziadek i babcia (przyp. red.).

Mieszkaliśmy w Riczycy w skromnym domu, nieco podobnym do tego, który zamieszkuję obecnie. Ale ten tutaj stoi całkiem sam, na uboczu, a dom Twoich dziadków znajdował się pośrodku wsi. Tam też wodę trzeba było przynosić z podwórza, zimą pompa zamarzała, a ustęp stał w tylnej części ogrodu. Twoi dziadkowie jako dzieci przeżyli czasy kolektywizacji i głodu w latach trzydziestych, a następnie wielką wojnę ojczyźnianą. O tej wojnie dowiedziałam się oczywiście w szkole, dziadkowie nigdy nie wspominali tych czasów.

O latach głodu usłyszałam pierwszy raz w wieku ośmiu czy dziewięciu lat. Przy okazji uroczystych obchodów rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej nasz sąsiad, Iwan Kyjan, wdrapał się na podium i zawołał: „Prawdziwi Ukraińcy nie świętują rocznicy dnia, który miliony z naszych rodaków przypląciły śmiercią głodową!“. Był pijany. Pamiętam ciszę, jaka zapadła po jego słowach, oraz to, że baba chwyciła mnie za rękę i wyszliśmy z uroczystości. Pamiętam też, że zapytałam wieczorem dida, o co chodziło sąsiadowi. Did złapał mnie wtedy za ramiona, potrząsnął mną i zbeształ: „Masz o tym natychmiast zapomnieć i nigdy więcej o tym nie mówić. Rozumiesz?“. Nigdy wcześniej nie odnosił się do mnie w ten sposób.

Następnego dnia sąsiada nie było już we wsi, wkrótce zniknęła także jego żona i dzieci. „Wyjechali do krewnych“, szeptano w okolicy. Nigdy o nich już nie słyszeliśmy ani o nich nie rozmawialiśmy. Jeden z jego synów, Witalij Kyjan, był ze mną w tej samej klasie. Bardzo się lubiliśmy, zawsze razem biegaliśmy do szkoły, a kilka miesięcy wcześniej...

Pociąga łyk ostygłej herbaty miętowej. Czasami w życiu ludzkie drogi się rozchodzą, a potem znowu przecinają. Ale o tym później.

Nie powinna zbaczać z tematu, lecz skupić się na meritum: na tym, co zrobiła, i na tym, co zaprzepaściła. Ale może to właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Martwa cisza na placu pośrodku wsi. Przerażony, a jednocześnie groźny wzrok dida. Być może to właśnie wtedy się nauczyła, że nie o wszystko wolno pytać i nie o wszystkim wolno mówić.

Zdecydowanym ruchem skreśla ostatnie słowa.

... razem biegaliśmy do szkoły.

Latem my, dzieci, chodziliśmy kąpać się w pobliskiej rzece. Czasami wieczorami dołączali do nas dorośli. Zachodzące słońce zarzucało na taflę rzeki czerwono-pomarańczową wstęgę, a my skakaliśmy z rozpościerających się szeroko ponad wodą konarów drzewa. Kobiety szeptały do dziewczynek, że kąpiel wieczorową porą przynosi urodę, więc skakałyśmy i skakałyśmy w te lśniąco odmetę dopóty, dopóki słońce całkowicie nie zaszło.

Od pierwszej do czwartej klasy z największą dumą nosiliśmy na fartuchach podobiznę Lenina jako małego chłopca na tle czerwonej gwiazdy, co świadczyło o tym, że byliśmy oktiabriatami³, a nasz najwyższy cel to przynależność do organizacji pionierskiej. W wieku dziesięciu lat złożyliśmy przyrzeczenie pionierskie. Każdego ranka należało prasować pionierską chustę, a wtedy w kuchni unosiła się ciepło-słodka woń rozgrzanego sztucznego jedwabiu. Codziennie gromadziliśmy się na dziedzińcu szkolnym i witaliśmy dzień następującymi słowami: „Do walki o sprawę Partii Komunistycznej Związku Radzieckiego – bądźcie gotowi! Zawsze gotowi!”. W czasie lekcji nauczycielka, pełna głębokiego szacunku, mówiła o „dieduszcze Leninie”, o osiągnięciach państwa robotników

³ Oktiabriata – polityczna organizacja w Związku Radzieckim, skupiająca najmłodszych uczniów szkoły podstawowej; w Polsce używa się też nazw: Październiczęta, Dzieci Października (przyp. red.).

i chłopów oraz o wrogach Związku Radzieckiego, zagrażających naszemu krajowi i naszej świetlanej przyszłości. Następnie na stojąco, uniósłszy zgiętą rękę, odśpiewywaliśmy: „Niech gwiazda nasza wśród ludu świeci, myśmy pionierzy, my ludu dzieci”. Kochałam poczucie przynależności, współuczestniczenia w realizacji wizji czegoś wielkiego.

We wsi wisiały plakaty przypominające nam o czającym się wrogu oraz o żyjących dyskretnie wśród nas szpiegach. Wciąż mam w pamięci plakat z kołchoźnicą w czerwonej chustce na głowie i z przyłożonym do ust placem wskazującym. Poniżej widniał napis: „Sabotażyści są wśród nas. Uważaj, z kim rozmawiasz”. Każdego dnia mijalam mozaikę w szkolnym korytarzu. Była wysoka na dobre trzy metry i szeroka na pięć. Przedstawiała mężczyzn żących kosami zboże oraz kobiety wiążące je w snopki. Uśmiechali się do nas, dzieci, gdy tylko przekraczaliśmy szkolny próg, biło od nich zadowolenie i szczęście. Obraz ten koronował łuk z napisem: „Moja praca. Mój wkład w socjalizm i pokój”.

Przerywa na moment i przygląda się przedostatniej linijce. Znowu tu było. Szczęście! Czyli już wtedy znała to słowo. Mozaika była jak obietnica, ale pomimo że przedstawiała pracę w kołchozie, Walentyna nigdy nie wiązała jej z wiejską codziennością. Być może dlatego, że ojciec kłął, gdy przez wiele tygodni brakowało części do maszyn albo w ogóle nie można było ich dostać. Być może dlatego, że jej rodzice nie emanowali taką radosną ufnością, kiedy wracali późnymi wieczorami do domu, wykończeni po całym dniu pracy. A może dlatego, że chcąc zdobyć mleko czy kawałek sadła, zawsze trzeba było odstać wiele godzin w kolejce – mimo że kołchoz dysponował ponad stoma krowami, a także bykami i świniami.

To musiał być rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty albo siedemdziesiąty, gdy po wsi cichaczem rozeszła się plotka: w pobliżu miasta Czarnobyl, na rzece Prypeć rozpoczęła się budowa. Na początku mowa była o fabryce, ale potem coraz częściej padało określenie „elektrownia atomowa”. Wkrótce mówiono już o kilku reaktorach. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, dobrze to pamiętam, towarzysząc przewodniczący lokalnego biura partyjnego w czasie pewnych obchodów wygłosił przemówienie, w którym po raz pierwszy oficjalnie wspomniął o elektrowni atomowej. Dzięki reaktorom nasz region miał stać się jednym z najważniejszych w całym Związku Radzieckim i przynieść nam wszystkim dobrobyt. To osiągnięcie, do którego na całym świecie zdolny był tylko Związek Radziecki. Dla zatrudnionych tam specjalistów miało powstać nowoczesne miasto.

W późniejszych tygodniach słyszeliśmy o mieszkaniach z bieżącą wodą, ogrzewaniem, łazienką, a nawet telefonem. Nowe miasto miało nazywać się tak jak rzeka – Prypeć.

Nauczycielka wciąż nam tłumaczyła, że tylko najlepsi dostaną szansę na pracę i zamieszkanie w tym miejscu, a decyzje miały zapadać w samej Moskwie. Zawsze byłam dobrą uczennicą. Teraz miałam przed oczami konkretny cel, więc tym chętniej podwoiłam wysiłki.

Rodzice z dumą przyglądali się moim wynikom w szkole oraz wspierali mnie w realizacji marzenia o pracy w Prypeci.

Jak wszystkie dzieci, spędzałam niewiele czasu z rodzicami. Lekcje trwały aż do popołudnia, a później angażowały nas zajęcia pionierskie. Zapewne był to również powód, dla którego długo nie dostrzegałam, że nastroje we wsi i w domu zaczęły się zmieniać. Aż do wieczoru w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym, którego złożyli nam wizytę kierownik kołchozu i towarzyszy z biura partyjnego.

Rozdział 3

Zyfflich, 15 lutego 2010

Matthias Lessmann nie był w stanie sobie przypomnieć, co zrobił i w jakiej kolejności. Ani że rzucił się do apteczki po bandażu, ani też że wyciągnął ją chudą i nagą z wanny, a potem opatrzył jej nadgarstki. Ani tego, że założył opatrunki uciskowe na rany, gdy te przestały krwawić.

W pamięci został mu strach. Strach, którego nie odczuwał od sześciu lat – od momentu śmierci żony w wyniku choroby nowotworowej. Strach o życie drugiego człowieka. Pobiegł do telefonu, lecz jeszcze przed wybraniem pierwszej cyfry numeru alarmowego odłożył słuchawkę. Jak miałby wyjaśnić tę sytuację? Młoda dziewczyna, której imienia nie znał, przybyła w szmatce niebędącej niczym więcej jak halką, leżała naga i z podciętymi żyłami na posadzce w jego łazience.

Zaniósł ją do góry, do sypialni, położył w swoim łóżku i delikatnie klepnął w policzek.

– Halo! Halo, słyszysz mnie?

Otworzyła na chwilę oczy. W jej spojrzeniu widoczna była rezygnacja, w obliczu której przeszedł go dreszcz. Zasnęła.

Siedział przy niej całe przedpołudnie, co chwilę kontrolował opatrunki na nadgarstkach, urągał sobie w myślach od idiotów i obserwował jej twarz. Nie powinien się w to mieszać. Dlaczego nie kazał jej odejść? Ile mogła mieć lat? Co najwyżej dwadzieścia. Być może była Polką albo Rosjanką. Bez wątplenia z Europy Wschodniej, tego był pewien.

Pełną odcisków dłonią przetarł ogorzałą twarz, modląc się cicho, by Pan dał jej przeżyć, lecz chodziło mu – do czego przyznał się sam przed sobą o wiele później – nie tylko o życie dziewczyny. Wciąż myślał o tym, jak miałyby wyjaśnić obecność jej zwłok w swoim domu, w jego własnym łóżku. Chyba nikt nie uwierzyłby mu w to, co wydarzyło się naprawdę.

Ledwo było ją widać spod puchowej kołdry. Na gładkiej buzi malowała się niewinność – sprawiająca, że wszystkie młode dziewczyny stawały się piękne. Z wydatnych warg niemal całkowicie odpłynęła krew, więc prawie zlewały się z papierowym obliczem. Bładość natomiast podkreślała delikatnie łukowate brwi i wciąż mokre, wijące się wokół jej głowy ciemne włosy. Nadal nie znał jej imienia.

Odwykł od obecności ludzi, odwykł od interesowania się nimi.

Było już po jedenastej, gdy wydało mu się, że jej oddech stał się głębszy i bardziej równomierny. Opatrunki były suche, krwotok ustąpił dobre dwie godziny temu. Uspokojony stanął przy oknie i zaczął wyglądać. Uda jej się. Młoda jest.

Owce czekały cierpliwie obok paśnika. Przypomniało mu się, że nadal nie dostały wody.

Włożył w sieni gumowce i sięgnął po futrzaną kamizelkę. No tak, wciąż leżała w łazience. Wanna pełna była krwistej wody. Podciągnął prawy rękaw. Zawahał się. Przez moment przeszła mu przez głowę absurdalna myśl,

że spuszczenie krwi do kanalizacji byłoby pewnego rodzaju zbezczeszczeniem. Potem jednak wyciągnął korek, umył wannę i wytarł podłogę. Wrzucając do kosza na brudną bieliznę cienką sukienkę, poczuł coś twardego. Szew w kilku miejscach był rozpruty, z rąbka wystawał kawałek papieru. Wyciągnął go. Na małym pogniecionym karteluszk, wyglądającym, jakby ktoś go zwijał i rozwijał setki razy, ujrzał zapiski cyrylicą. Odruchowo włożył znalezisko do szafki nad umywalką.

W sieni napełnił dwa wiadra wodą, wyszedł i postawił je na wybiegu. Porozmawiał ze zwierzętami, jak to ostatnio miał w zwyczaju.

– Ale się narobiło, prawda? Musimy ją trochę podkurować, zanim będzie mogła pójść dalej.

Chwycił Trine za grzywę i czule potarł ją. Zwierzę mocno przycisnęło głowę do jego dłoni i z ochotą przyjęło pieszczotę. Niebo odziało się w jednostajną szarość. Po południu spadnie śnieg.

– Gdybyśmy jej wtedy nie znaleźli! Lepiej nawet o tym nie myśleć. Najlepiej byłoby chyba odwieźć ją do szpitala. Ale jak byśmy się im wytłumaczyli? Przecież od razu by powiedzieli: „A to stary dziadyga! Co taka młoda dziewczyna robiła u niego w domu?”. Każdy by tak pomyślał. A ile byłoby potem gadania we wsi.

Potrząsnął zrezygnowany głową, podrapał Trine za uszami, po czym obrzucił wzrokiem pola i łąki. Poczuł narastający niepokój. Jakby przypuszczenie, że jego spokojne życie zmieni się od dziś raz na zawsze.

Zebrał w kurniku pięć jajek i przyjrzał się siedzącym na grzędzie kokoszkom z nastroszonymi piórami. Dziewczynie dobrze by zrobił porządny drobiowy rosół. Wybrał jedną z kur, chwycił za nogi i wyniósł głowę do przodu

przez podwórze wprost do stojącego przed drzwiami sieni pniaka, na którym rąbał drwa na opał. Obuchem siekiery uderzył ptaka w głowę, a następnie położył go bezwładne na pniu i mu ją odrąbał. Kurze ciało po raz ostatni zatrzepotało skrzydłami.

W kuchni zagotował wodę, którą następnie zaniósł do wyłożonej płytkami części sieni, gdzie dawniej stały do-jarki i lodówki. Oskubał i wypatroszył kurę. Koty i Bella okrążyły go, konkurując o wnętrzności, które im raz po raz rzucał.

Włożył mięso do garnka pełnego mocno osolonej wody i postawił go na ogniu. Z zamrażarki wyjął por, seler i marchew. Potem zaparzył herbatę i zaniósł ją na górę, do sypialni.

– Halo! Słyszysz mnie? – zapytał.

Otworzyła oczy i wbiła weń wzrok. Z ulgą przysiadł na krawędzi łóżka.

– Herbata – powiedział i podał jej kubek. – Musisz pić.

Podparł jej głowę, a ona wzięła ostrożnie łyk.

– Ale rozrabiasz. – Wysilił się na luźny ton. – Mogłaś ściągnąć na nas poważne problemy.

Już wypowiadając to zdanie, zrozumiał, jaką palną głupotę. To on miałby problemy.

– Jak masz na imię? – dodał szybko.

– Tania – szepnęła.

Kiwnął głową. Z trudem hamował potok pytań. Skąd się tu wzięłaś? Kim byli ci mężczyźni? Dlaczego biegasz tutaj półnaga o świcie? Dlaczego próbowałaś...?

– Nazywam się Lessmann – powiedział i chrząknął. – Matthias. Matthias Lessmann – uzupełnił. – Mógłbym... To znaczy... Czy mam może do kogoś zadzwonić... żeby po ciebie przyjechał? – Uśmiechnął się krzepiąco.

Jej „nie” padło natychmiast, słyhać było w nim przestrasch.

– Już dobrze – uspokoił ją, a potem oznajmił, że teraz powinna odpoczywać. Mówił o drobiowym rosolu, który będzie gotowy wieczorem, i że Tania na pewno wkrótce znów poczuje się jak młody bóg.

Wtedy na jej usta po raz pierwszy wypłynął ledwo zauważalny uśmiech.

– Kto taki? – zapytała. – Jaki znowu młody bóg?

– Będziesz zdrowa – wyjaśnił. – Mocna, w pełni sił... Po prostu całkiem zdrowa.

Ucieszył się, że go rozumiała i że wkrótce stanie na nogi zamiast umrzeć w tym pokoju, tak jak to zrobiła wiele miesięcy temu jego żona.

Później, po dodaniu do zupy włoszczyzny, stanął przy kuchennym oknie. Na zewnątrz intensywnie śnieżyło, a on pomyślał, że należy zamknąć kury, zanim, oślepięte śniegiem, zupełnie stracą orientację. Wychylił się przez okno, by sprawdzić, czy śnieg już całkiem pokrył ziemię, gdy znowu ją zobaczył. Terenówka zaparkowała na krawędzi jezdni, jakieś sto metrów od wjazdu na jego podwórze. Mężczyźni wysiedli i szli wzdłuż drogi.

Bella leżała pod kuchennym stołem. Lessmann cmoknął i ruszył ku drzwiom wyjściowym. Wypuścił psa i wyjął lornetkę z szuflady stojącej w korytarzu komody. Jeden z mężczyzn ubrany był w brązową kurtkę z owczej skóry. Lessmann ocenił jego wiek na około dwadzieścia pięć lat. Bella stała w bramie i szczekała. Drugi mężczyzna, na oko pod czterdziestkę, miał na sobie woskowaną kurtkę od Burberry'ego i dłonie utkwione głęboko w jej kieszeniach.

Samochód był marki Landrover, na rejestracjach z Düsseldorfu. Nie mógł dokładnie przeczytać numeru, tablicę rej-

stracyjną przesłaniała mu częściowo sztacheta płotu. Widoczna była tylko litera „D” jak Düsseldorf oraz cyfry „232”.

Wciąż skupiał się na aucie, kiedy usłyszał Bellę która, zdezorientowana, nie mogła się zdecydować, czy należy już warczeć, czy raczej wciąż czekać. Lessmann pobiegł do pokoju gościnnego i zobaczył, że jeden z mężczyzn próbuje dostać się na pastwisko, odganiając psa kijem. Matthias ruszył biegiem do sieni, wyciągnął z szafy broń myśliwską, załadował i wybiegł w kapciach z domu. Oddał w powietrze wystrzał. Mężczyzna upuścił kij i rzucił się do ucieczki. Lessmann przyłożył strzelbę do oka, przywołał psa i cały czas trzymając mężczyznę na muszce, ruszył przed siebie.

– Złodzieje owiec! – zawołał. – Przeklęci złodzieje! I to w biały dzień! Wynocha stąd, ale już!

Mężczyzna podniósł ręce i wbił wzrok w Lessmanna, który – rozczochrany, z długimi do ramion siwymi włosami, od wielu dni nieogolony i stojący pośród śniegu w rozdeptanych kapciach – celował do niego z broni. Lessmann tymczasem nie przestawał mu wymyślać.

– Jeszcze pożałujecie! To już szósta w tym roku!

Nie ustając w tych bezsensownych oskarżeniach, dostrzegł, że mężczyzna w skórzanej kurtce rzucił się do samochodu. Gdy rozległ się warkot uruchamianego silnika, Lessmann opuścił strzelbę na wysokość klatki piersiowej.

– Wynocha! I żebym was tu więcej nie widział! Następnym razem cię zastrzele, to moje święte prawo!

Terenówka przystanąła koło pastwiska, drzwi od strony pasażera się otworzyły i drugi mężczyzna wskoczył do środka.

Lessmann wrócił do domu i zadowolony z siebie odłożył broń do szafy. Pomyślał, że ci dwaj na pewno zrozumieli, o co mu chodziło, i już nigdy więcej się tu nie pojawiają.